

EWA PIRCE

i teraz
TU



Copyright ©
Ewa Pirce
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Kamila Reclaw
Korekta:
Anna Rochatka
Magdalena Zięba-Stepnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-254-8

EWA PIRCE

TU I TERAZ

OŚWIĘCIM 2020

Dedykacja

Dla koncertowych delfinów – wy wiecie.



prolog

Najtrudniej jest zgubić siebie

Noelle

Wiecie, jak to jest, kiedy życie przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie? Kiedy wszystko, absolutnie wszystko traci sens? Kiedy coś, co niegdyś wydawało ci się całym światem, teraz stanowi jedynie banalny frazes?

Właśnie w takim stanie obecnie się znajdowałam. Obezwładniająca, bolesna pustka rozrastała się we mnie z każdym dniem coraz bardziej i bardziej, aż dotarłam do granicy.

Nie mogłam oddychać.

Nie potrafiłam funkcjonować.

Nie chciałam żyć.

Biegłam przed siebie. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam. Nie miałam celu, po prostu gnałam, pragnąc uciec od bólu, żalu i strachu, które trawiły mnie kawałek po kawałku. Ta mieszanka była niczym gangrena zżerająca jeszcze niedawno zdrowe ciało.

Kierowane przez wiatr, lodowate igielki deszczu wbijały się w moją rozgrzaną skórę, co przyjmowałam z przyjemnością. Potrzebowałam tego, by zamaskować płacz – od ponad ośmiu miesięcy nieodłączny element mojej egzystencji. Choć do niego przywykłam, przez krótką chwilę mogłam udawać, że to kapiące z nieba krople, a nie wypływające z oczu łzy rozpaczyny znaczą moje policzki.

Delektowałam się tą chwilą złudnej normalności, starając ignorować wibrujący w kieszeni telefon. Ten nachalny dźwięk,

który zaburzał mi myśli, w końcu stał się zapalnikiem wyzwalającym tłoczące się we mnie emocje.

Na zawsze zapamiętam moment eksplozji, który stracił mnie w przepaść szaleństwa.

Wsunęłam skostniałą z zimna dłoń do kieszeni spódnicy. Mocowałam się z ciężkim, mokrym materiałem, aż wyłowiłam nie dające mi spokoju urządzenie. Doskonale wiedząc, kto usiłuje się do mnie dodzwonić, nawet nie zerknęłam na ekran, tylko nacisnęłam umieszczony z boku przycisk wyłączenia urządzenia. Czułam, że to za mało, by się uwolnić. Nie dając sobie czasu na zastanowienie, z całej siły cisnęłam telefonem o wilgotny asfalt. Rozleciał się jedynie na dwa kawałki, ale to wystarczyło, by zalała mnie fala satysfakcji.

Gapiłam się beznamiętnie na szczątki iPhone'a z podchodzącą do gardła goryczą porażki i niechęci oraz kotłującymi się w głowie myślami o ludziach, z którymi nie chciałam mieć więcej do czynienia. Zniszczyli mnie poprzez odebranie wszystkiego, co w życiu kochałam. Zrobili ze mnie wariatkę, pozbawioną wolnej woli i siły do walki. Żyłam fizycznie, ale wewnątrz byłam martwa. Straciłam swoje cele i marzenia, a także napędzające mnie do działania szczęście. Bez tego byłam jedynie kośćmi i mięśniami opakowanymi w skórę, które prędzej czy później przeobrażą się w proch. Stanę się wyłącznie wspomnieniem, a koniec końców i tak nastanie nicość. Nic po sobie nie pozostawię... Już nie.

Uniosłam głowę ku niebu. W płaczącym nieboskłonie odnalazłam nikłe pocieszenie. Wsparcie, którego nie dostałam od żadnego człowieka, zaoferowała mi Matka Natura. Dostosowała swoje emocje do moich. Zamiast kazać wziąć mi się w garść jak ludzie w moim życiu, cierpiała razem ze mną. Dzieliłam się z nią swoją agonią i tęsknotą, dopóki nie poczułam zawrotów głowy i nie runęłam na ziemię.

Po palcach lewej dłoni rozszedł się ból.

Przeszył całą dłoń.

Sprawił, że ten w sercu nieco osłabł, pozwalając mi zaczerpnąć życiodajnego oddechu.

Głośny szloch zamienił się w łkanie dogorywającego zwierzęcia. Zwinęłam się w kłębek w nadziei, że im będę mniejsza, tym mniej zmieści się we mnie zdruzgotania, a następnie zogniskowałam spojrzenie na bolącej dłoni. Przyglądałam się jej przez łzy, aż zarejestrowałam poobdzierane knykcie i strużki spływającej w dół krwi. Zafascynował mnie ten nieco makabryczny widok. Być może dlatego, że kontrolująca moją duszę ciemność znalazła ujście i wreszcie minimalnie zmałała.

Podparłam się na zdrowej ręce i rozejrzałam wokół obłąkańczym wzrokiem. Rozgorzała we mnie nieodparta potrzeba sprawienia sobie fizycznego bólu. Związana z tym gorąca iskra podniecenia, która się we mnie zapaliła, kontrastowała z lodową powłoką, jaką było moje ciało. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy natrafiłam spojrzeniem na leżący jakiś metr ode mnie płaski kamień. Jego ostre krawędzie idealnie nadawały się do tego, co chciałam zrobić. Jakby czekał właśnie na mnie. Jakby był dla mnie przeznaczony.

Zmobilizowałam drzemiące we mnie resztki energii i podpełzłam do niego, nie zważając na błoto i kałuże. Gdy znalazłam się wystarczająco blisko, bez zawahania oplotłam palce na zimnej, chropowatej bryle.

Podciągnęłam się do pozycji siedzącej, pogładziłam kciukiem ostrą krawędź, wpatrując się w swoją zdobycz ze zdenerwowaniem, ale i ekscytacją. Podszepty diabła przebiły się przez prośby anioła, który próbował wyperswadować mi to, co zamierzałam. Posłuchałam tego pierwszego i podwinęłam spódnicę tak wysoko, by zyskać dostęp do swoich ud. Przyłożyłam kamień do wnętrza jednego z nich i zagryzając zęby, docisnęłam go mocno do jasnej skóry. Stęknęłam głośno, gdy po przeciągnięciu nierównym brzegiem po całej długości aż do kolana poczułam palenie wywołane rozdieranymi tkankami. Jednak cięcie okazało się zbyt płytkie, by przynieść mi oczekiwane ukojenie. Ponowi-

łam więc próbę, tnąc to samo miejsce. Wciąż było mi mało... Dlatego przejechałam po ciele po raz kolejny i następny. Nie przestałam nawet wtedy, gdy usta wypełnił mi żelazisty posmak, a z postrzępionej rany ciurkiem leciała krew.

Spowolniłam ruchy dłoni dopiero, gdy pieczenie przybrało na intensywności tak bardzo, że stało się nie do zniesienia. Skoncentrowałam na nim całą swoją uwagę, czerpiąc dziwną radość z rozdzierającego pulsowania i widoku krwi, z którą uchodziły ze mnie wszystkie toksyczne uczucia.

Z każdą chwilą stawałam się coraz słabsza, obraz przed oczami zaczął mi się rozmazywać. Głowa opadła bezwładnie w dół, a mięśnie zwiotczały tak bardzo, że nie byłam w stanie siedzieć i osunęłam się na ziemię. Po raz kolejny tego dnia.

Dryfując w przestrzeni „pomiędzy”, wychwyciłam warkot silnika. Skupiłam się na tym odgłosie. Wzmagał się z sekundy na sekundę, po czym nagle umilkł.

– Cholera!

Usłyszałam jakiś niski głos, którego nie znałam.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nic się z nich nie wydobyło, bo pochłonęła mnie ciemność.



pierwsze uderzenie serca

Czasami by wygrać, musisz przegrać

Noelle

Zostałam wyrwana ze snu w jeden z najgorszych możliwych sposobów.

Wciąż czułam zaciskające się na gardle macki koszmaru. Odcinał mi dopływ tlenu i miażdżył klatkę piersiową, a przede wszystkim niósł ze sobą kolejną dawkę rozpacz, od której nie mogłam uciec nawet podczas snu. Byłam jej niewolnikiem, w dzień i w nocy.

Chciałam otworzyć oczy, ale uniemożliwiał mi to tępy, pulsujący ból w okolicach skroni. Balansowałam więc na krawędzi snu i rzeczywistości, walcząc z tym siejącym emocjonalne spustoszenie przeciwnikiem, gdy usłyszałam głośny huk.

Poderwałam się do pozycji siedzącej i zmusiłam do rozwarcia powiek. Po przywyknięciu do jasnego światła pobłądziłam półprzytomnym wzrokiem po wnętrzu, w którym przebywałam. Szybko zakiełkował we mnie niepokój, bo nie rozpoznałam tego pomieszczenia. Wzmógł się, gdy moją uwagę przykuł nieznaczny ruch. Przekrzywiłam głowę w jego kierunku.

Serce zadrżało mi w piersiach i krzyk zamarł w gardle, gdy ujrzałam stojącego w drzwiach obcego mężczyznę. Czując nagłą potrzebę skrycia się przed jego przenikliwym spojrzeniem, chwyciłam za brzeg kołdry i podciągnęłam ją pod samą brodę.

– Spokojnie – wyszeptał.

Musiałam wyglądać jak sarna pojmana w światła samochodowych reflektorów, bo uniósł ręce w poddańczym geście i dopiero zaczął się powoli zbliżać. Instynktownie przesunęłam się do tyłu, aż moje plecy zderzyły się ze ścianą. Z ust wyrwał mi się cichy syk, kiedy wewnętrzna część uda zapaliła żywym ogniem. Wtedy przypomniałam sobie o cięciu, którym oszpeciłam swoją nogę.

– Nic ci nie zrobię – zapewnił mężczyzna na widok mojej reakcji.

Łagodność w głosie kontrastowała z jego wyglądem. Jakby lekko przetłuszczone blond włosy sięgały ramion, twarz pokrywał kilkudniowy zarost, przez co nie widziałam dobrze jego rysów, jedynie bladoniebieskie oczy – przygaszone i zadziwiająco czujne. Szara koszulka mocno przylegała do umięśnionego ciała, a czarne, wyraźnie znoszone dżinsy, które zwisały mu z bioder, oraz liczne tatuaże na rękach sprawiały, że kojarzył mi się z członkiem jakiegoś gangu.

– Jak masz na imię? – zapytał, gdy znalazł się około metra ode mnie.

Wzdrygnęłam się przestraszona jego bliskością. Musiał to zauważyć, bo zatrzymał się w pół kroku.

– Nic ci nie zrobię – powtórzył, jakby sądził, że im więcej razy powowie te słowa, tym większa szansa, że w nie uwierzę.

Nauczyłam się nie ufać nikomu, nawet samej sobie. Dlatego milczałam jak zakłeta, przyglądając mu się z rezerwą. Nauczona doświadczeniem, wiedziałam, że słowa nic nie znaczą. Lepiej słuchać, niż mówić. Obserwować, niż otworzyć się i dać do siebie dotrzeć. Bo wszystko, co zdradzisz, zostanie później użyte przeciwko tobie.

– Okej – sapnął z rozczarowaniem. – Może zacznę od siebie... Jestem Charlie. – Wsunął dłonie do kieszeni dżinsów. Próbował ukryć ich drzenie, świadczące o zdenerwowaniu. – Wiesz, w jaki sposób się tu znalazłaś?

Cofnęłam się myślami w czasie. Strapiony umysł przypomniał mi ucieczkę, bieg bez celu, roztrzaskany telefon, kamień, krew... Później nic... Czarna dziura.

Pokręciłam przecząco głową.

– Znalazłem cię na ulicy. – Wychwyciłam lekką zmianę w jego głosie. Ku mojemu zaskoczeniu, nie było to współczucie, a... złość.

Z trudem przełknęłam ślinę. Gardło miałam obolałe, a w ustach czułam pustynną suchość.

– Przyniosę ci coś do picia – oznajmił.

Zmrużyłam lekko powieki, oszołomiona jego słowami. Zupełnie jakby czytał mi w myślach.

– Przygotuję też coś do jedzenia – dodał. – Spałeś dwa dni, musisz być głodna.

Jeśli liczył, że zszokuje mnie ta informacja i doczeka się jakiejś reakcji, to grubo się mylił. To nie pierwszy raz, kiedy pozostałam bez jedzenia dłużej niż kilka godzin. Mój rekord to tydzień, który skończył się w szpitalu karmieniem dożylnym. Kiedy względnie doszłam do siebie, pilnowano, abym spożywała regularne posiłki.

Gdy nieznajomy pojął, że nie uzyska ode mnie żadnej odpowiedzi, pokręcił z niedowierzaniem głową, a z jego ust uciekło ciche sapnięcie. Odwrócił się na pięcie i opuścił pokój.

Poruszyłam się nieznacznie, szukając wygodniejszej pozycji. Żeby nie zagubić się w bałaganie, który panował w mojej głowie, rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wystrój był minimalistyczny i chłodny – typowo męski. Jasne ściany kontrastowały z ciemnymi meblami. Pod oknem stało biurko i skórzany fotel. Naprzeciw mnie ulokowano regał od góry do dołu wypełniony książkami, obok niewielką komodę. Centrum stanowiło kalifornijskie łóżko, które aktualnie zajmowałam, z niską szafką nocną po lewej stronie. Poza tymi kilkoma elementami nie uświadczyło się tutaj nic więcej – żadnych ozdób, fotografii, roślin, brakowało nawet zasłon i firanek w oknie.

Mężczyzna wrócił w chwili, kiedy postanowiłam wygrzebać się z łóżka, by wyrzucić na świat. W jednej ręce trzymał butelkę wody, a w drugiej talerz z ogromną kanapką.

– Spokojnie – mruknął, zbliżając się do mnie.

Zatrzymał się przy przeciwległej krawędzi łóżka, gdzie postawił talerz i wodę. Nie odczuwałam łaknienia, ale z chęcią napiłabym się wody. Zamierzałam jednak poczekać, aż wyjdzie, by nie pokazać, że czegokolwiek od niego potrzebuję.

– Chcesz, żebym po kogoś zadzwonił? – zagaił.

Zaprzeczyłam gwałtownym ruchem głowy.

Na czole mężczyzny pojawiła się głęboka zmarszczka – wynik sfrustrowania moim zachowaniem.

– Potrafisz mówić? – dociekał.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, dopóki nie straciłam siły i odwagi, by toczyć z nim niemą bitwę. Opuściłam wzrok z nadzieją, że zrozumie mój przekaz i odejdzie. Nic z tego, nadal tkwił w tym samym miejscu, świdrując mnie badawczym wzrokiem, od którego na przedramionach wykwitła mi gęsia skórka. Powinnam się bać, w końcu nie znałam tego człowieka. Ja jednak nie czułam lęku. Nie obchodziło mnie, co się ze mną stanie. Byłam tak bardzo zmęczona swoim życiem, że pragnęłam zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić.

Nie bacząc na obecność mężczyzny, odwróciłam się tyłem i zwinęłam w embrion. Zacisnęłam mocno powieki, modląc się do Opatrzności o sen.

– W porządku – odezwał się po chwili nieznajomy. – Dam ci czas do jutra. Później albo powiesz mi, kim jesteś i co się stało, albo zawiadomię policję o całym zajściu.

Sekundę po tym oświadczeniu usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi.

Gdy zostałam sama, powędrowałam dłonią do poharatanego uda. Poczułam pod palcami opatrunek i uniosłam kołdrę. Okazało się, że mężczyzna nie tylko opatrzył mi ranę, ale i przebrał mnie w swoją koszulkę.

Wpatrywałam się w białą gazę dopóty, dopóki mojej psychiki nie przejęły wspomnienia adekwatne do obecnej sytuacji. Wtedy też wszystko zapoczątkowała krew, później jednak zamiast do domu nieznanego trafiłam do szpitala, a tam był już tylko krzyk, płacz i ta rozdzierająca duszę pustka. By sobie z nią poradzić, zadawałam sobie fizyczny ból. Żywiłam głupie przeświadczenie, że wypływa ze mnie wraz z krwią. Dlatego niewiele myśląc, wbiłam paznokcie w opatrunek. Zacisnęłam na nim palce, dokładnie w miejscu, gdzie wiedziałam, że istnieje rozcięcie od kamienia. Powtórzyłam to kilka razy, aż opatrunek zabarwił się szkarłatem, z oczu popłynęły łzy, a ziejący w sercu ból nieco zelżał. Jak urzeczona wpatrywałam się w powiększającą się plamę krwi.

Dlaczego to robisz, Noelle? Dlaczego się ranisz?

Co z tobą nie tak? Jesteś egoistką, myślisz wyłącznie o sobie.

Pełne wyrzutów i niezrozumienia słowa rodziców odbijały mi się po ściankach umysłu jak piłeczka do squasha. Nikt nie był w stanie zrozumieć, co mną kierowało, co czułam i jak bardzo męczył mnie każdy dzień wegetacji. Bo nie mogłam nazwać życiem tego, co działo się ze mną od ponad roku.

Ból był moim jedynym przyjacielem, tylko dzięki niemu jeszcze trwałam. Dla świata to, co robiłam, było nienormalne, chore, a nawet tchórzliwe – dla mnie wyzwalające. Odkąd odkryłam, że to jedyny sposób, by znaleźć ukojenie i stłumić emocjonalne tortury, ranienie siebie stało się moim ratunkiem. Potrzebą silniejszą od wszystkiego innego.

Wsunęłam dłoń pod bluzkę. Przejechałam palcami po prostej, nieco wklęsłej bliznie, szpecącej centrum mojego brzucha. Żeby zagłuszyć głośny szloch, który dobył się z moich ust, rzuciłam się na łóżko i wcisnęłam twarz w poduszkę. Podczas gdy puch chłonał moje cierpienie, dotknęłam lewego boku. Opuszki palców natrafiły na nieregularne brzegi drugiej z blizn. Jej wypukłość i nierówność przypominały mi o nocy, której nigdy nie powinnam przeżyć. O chwili, kiedy wszystko, co nadawało mojemu życiu sens, odeszło.

Żałowałam, że los przygotował dla mnie inny scenariusz.

Nie chciałam żyć.

Nie powinnam.



– Jeśli nadal będziesz się raniła, to będę zmuszony skrepować ci ręce.

Jakby z oddali dotarł do mnie łagodny męski głos.

Nie otwierałam oczu, choć czułam na sobie natrętne spojrzenie jego właściciela. Pierwszy raz, odkąd zaczęłam swoją przygodę z samookaleczaniem, zakiełkował we mnie wstyd.

– Nie udawaj, wiem, że nie śpisz – dodał, a chwilę później poczułam uginający się pode mną materac.

Niechętnie uniosłam powieki. Przez to, że płakałam przed zaśnięciem, czułam pod nimi piasek. Żeby ich z powrotem nie zamknąć, przeniosłam wzrok na twarz nieznanego. Mimo malującego się na niej chłodu, nie dało się nie zauważyć przedzierającego się przez maskę chłopięcego uroku. Najbardziej wyróżniały się jego oczy – jasnoniebieskie jak bezchmurne niebo w pogodny dzień, okolone długimi, jasnymi rzęsami. Włosy zebrał w kucyk z tyłu głowy, ale kilka niesfornych pasemek wymknęło się z upięcia – opadały na pokryte kilkudniowym zarostem policzki. Choć wyglądał jak niegrzeczny chłopak, epatował aurą charakterystyczną dla prawdziwego mężczyzny.

Wyrwał mnie z letargu, gwałtownie zrywając ze mnie kołdrę. Wzdrygnęłam się, bardziej przez chłód, który owiał moje ciało, niż przez ten gest. Byłam tak wyczerpana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, że cokolwiek planował, nie zamierzałam się bronić. Moje ręce spoczywały wzdłuż ciała, a jedynym symptomem świadczącym o zdenerwowaniu był nierówny oddech.

– Nie skrzywdzę cię. – Jego głos brzmiał tak mechanicznie, że chwilami miałam wrażenie, że obcuje z robotem. – Zamierzam zmienić ci opatrunek.

Nie chciałam, by znowu oglądał, a tym bardziej dotykał moich ran. Jednak opór wymagał siły, a mnie jej brakowało.

– Nie żartowałem z tym wiązaniem – ciągnął. – Jeśli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, obudzisz się ze skrępowanymi rękoma. – Odwrócił się po leżącą za nim apteczkę. – Możesz się rozluźnić. Z mojej strony nic ci nie grozi.

Skinęłam sztywno głową, jednocześnie wypuszczając nieświadomie wstrzymywane powietrze. Staralam się rozluźnić – nadaremnie. Nie pomogło nawet to, że intuicja podpowiadała mi, że mówi prawdę.

– Mogę? – Wskazał głową przekrwiony plaster.

Kolejne skinienie z mojej strony.

Mimo udzielonej zgody sięgnął do opatrunku z obawą, jakby oczekiwał, że się zerwę albo go zaatakuję. Traktował mnie jak nieoswojone zwierzę, które dopiero uczyło się funkcjonować w ludzkim świecie.

– Pozrywałaś szwy – burknął z niezadowoleniem po tym, jak sięgnął gazę.

Podparłam się na łokciach i podążyłam wzrokiem do miejsca, któremu badawczo się przyglądał. Jeśli zaognione, umazane krwią nieregularne krawędzie z widocznymi strzępami poszarpanych tkanek wywarły na nim jakiegokolwiek wrażenie, nie dał tego po sobie poznać. A nawet mnie na krótki moment zmroził ten widok.

Mężczyzna zerknął na mnie spode łba, po czym podniósł się i bez słowa opuścił pokój. Oparłam się o wezgiłowie łóżka. Zalegającą wokół ciszę zaburzał jego przytłumiony głos. Wytrzymałam słuch, chcąc wychwycić sens dobiegającej z sąsiedniego pomieszczenia rozmowy. Choć mocno się starałam, docierały do mnie wyłącznie pojedyncze skrawki. Za mało, by wysnuć jakies domysły na temat tego, z kim i na jaki temat dyskutował.

Zadzzwonił do szpitala psychiatrycznego? A może zawiadomił policję, że znalazł jakąś niezrównoważoną psychicznie kobietę?

Obydwie te perspektywy napawały mnie niepokojem.

Nie zdążyłam wymyślić, co uczynię, gdy któryś z tych scenariuszy się ziści, ponieważ wrócił do pokoju.

– Będziemy mieli gościa – oznajmił, chowając telefon do tylnej kieszeni dżinsów.

Niepokój urósł do rangi strachu.

– To mój przyjaciel, jest lekarzem – wyjaśnił, widząc moje złężnione spojrzenie. – To on zsztył ranę i założył opatrunek.

Pokiwałam głową, starając się ukryć ulgę, która pojawiła się wraz z wypowiedzianymi przez niego słowami.

– To ostatni raz, gdy zapewniam ci pomoc. – Ton jego głosu ponownie wskoczył na ostrzejsze rejestry. – Następnym razem zawiozę cię do szpitala.

Na samą myśl o tym przeszły mnie dreszcze. Nie mogłam do tego dopuścić. Gdybym trafiła do szpitala, rodzice od razu by mnie odnaleźli. Musiałam bardziej się pilnować, powściągnąć autodestrukcyjne zapędy i przestać sprawiać kłopoty.

Nieznajomy podszedł do biurka. Wyjął z szuflady notes i pióro, a następnie wrócił do mnie.

– Napisz tu adres albo podaj numer telefonu do kogoś z twoich bliskich – polecił. – Skontaktuję się z nimi i wyjaśnię, co się stało. Z pewnością się o ciebie martwią.

Oddech uwiązał mi w gardle. Serce, które póki co biło w normalnym rytmie, przyspieszyło tak gwałtownie, że miałam problem z oddychaniem. Balansowałam na skraju hiperwentylacji, podczas gdy panika stopniowo oblepiała szlamem wszystkie moje wnętrności.

Za nic w świecie nie mogłam wrócić do domu.

Odgoniwszy niepewność i strach, przywołałam szczątki odwagi, jakie we mnie pozostały. Złowiłam spojrzenie mężczyzny i otworzyłam usta, a słowa same popłynęły.

– Proszę, pozwól mi zostać...

Oczy nieznajomego rozszerzyły się z zaskoczenia.

– Nie mogę wrócić do domu. – Mój głos brzmiał dziwnie nawet dla mnie samej. Dni, które spędziłam na milczeniu, odbiły się na moich strunach głosowych. Odzywałam się jedynie sporadycznie, półsłówkami. Bo po co mówić, kiedy i tak nikt cię nie słucha?

Odkasznęłam, żeby oczyścić gardło i nadać głosowi pozory normalności. – Proszę... – Broda zadrżała mi niebezpiecznie, a dłonie zwilgotniały ze zdenerwowania. – Nie odsyłaj mnie do domu. – Nabrałam powietrza do płuc. – Zrobię wszystko, czego zażadasz.

Byłam świadoma tego, jaki wydźwięk miały moje słowa. Wyartykułowałam je z pełną odpowiedzialnością, jaką ze sobą niosły. Dotarłam do granicy desperacji i naprawdę byłam w stanie zrobić absolutnie wszystko, byle tylko pozwolił mi zostać u siebie, póki nie wymyślę co dalej.

Oddychałam ciężko w oczekiwaniu na wyrok. Zdawałam sobie sprawę z niedorzeczności swojej prośby. Ale gdy człowiek dochodzi do pewnego punktu, jest w stanie porwać się na największe absurdy, aby osiągnąć cel. W tej chwili moim celem było uzyskanie na czasie – jedynym sojuszniku w mojej prywatnej wojnie przeciwko światu. Potrzebowałam najpierw pozbyć się z organizmu zatruwających umysł toksyn, którymi faszeryowano mnie przez ponad rok, a potem spróbować dojść ze sobą do ładu.

– Proszę – wyszeptałam, opuszczając powieki na splecione, spoczywające na kołdrze dłonie. Nie byłam w stanie dłużej udawać zuchwałości.

Czułam na sobie ciężar spojrzenia nieznajomego. Odnosiłam wrażenie, że wraz z przedłużającym się milczeniem jego waga wzrasta.

– Nadal nie poznałem twojego imienia.

Wzdrygnęłam się na dźwięk jego głosu, który przeszył ciszę. Kierowało mną bardziej zaskoczenie, spowodowane jego słowami, niż strach. Prędzej spodziewałam się tego, że każe mi się wynosić, aniżeli dociekać, jak się nazywam.

Popatrzyłam na niego, starając się odczytać jakiegokolwiek emocje – bezowocnie. Był niczym marmurowy filar – statyczny, beznamiętny, twardy. Przez to, że jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, obudziło się we mnie podejrzenie, że być może cierpi na aleksytymię. Tylko osoby z tym syndromem charakteryzował aż taki brak umiejętności wyrażania uczuć.

Raz jeszcze prześledziłam jego rysy, aż zatonełam w pochłaniających niczym spokojne wody oceanu oczach. Nagle coś w nich błysnęło, a między nami przepłynęła jakaś elektryczna wiązka. Wtedy mężczyzna oderwał ode mnie wzrok. Zrobił krok ku stolikowi nocnemu, jakby chciał zwiększyć dzielący nas dystans. Sięgnął po butelkę wody, a następnie wyciągnął z kieszeni spodni szklaną fiolkę.

– Wsuń rękę – nakazał szorstko.

Mimo rodzącego się we mnie buntu, zrobiłam, co kazał, by pokazać mu, że nie rzucam słów na wiatr.

Na mojej dłoni wylądowała biało-niebieska tabletką.

– Co to? – Starłam się nie okazywać obrzydzenia, które odczuwałam do wszystkich leków. Doświadczenie nauczyło mnie, że te niepozorne pastylki zamiast leczyć, niszczą. Odbierają zdrowy osąd i wolną wolę. Sprawiają, że człowiek staje się więźniem swojego ciała.

– Coś, co uśmierzy ból – wyjaśnił mężczyzna.

– Nie chcę, żeby zmalał. – Po raz pierwszy, od kiedy przemówiłam, w moim głosie pojawiły się moc i zdecydowanie.

– Wolisz cierpieć? – dociekał, nie kryjąc potępienia wobec mojej postawy.

A może tak mi się tylko wydawało?

– Na ból, który odczuwam, nie ma lekarstwa – odparłam zgodnie z prawdą, ponownie wkraczając do ciemnego, zimnego pokoju beznadziei.

– W porządku, jak wolisz – oznajmił.

Jak przez mgłę zarejestrowałam, że wrzuca tabletkę z powrotem do fiolki i odstawia wodę na szafkę. Mruknął jeszcze coś,

czego nie zrozumiałam, po czym opuścił pokój, pozostawiając mnie samą z własnym piętnem.

Odłożyłam na bok dręczące mnie demony, żeby skupić się na znalezieniu jakiegoś sensownego wyjścia z sytuacji, w której się znalazłam. Bez pieniędzy, dokumentów, telefonu i ubrań nie miałam wielkiego pola manewru. Nie wiedziałam, co robić, dokąd się udać czy do kogo zwrócić o pomoc. Nie posiadałam nawet nic wartościowego, co mogłabym sprzedać, by zdobyć jakieś środki na start. Wszystko zostało w domu – w miejscu, do którego nie zamierzałam wracać, choćbym miała skończyć jako bezdomna pod mostem.

Dopiero po upływie paru minut zorientowałam się, że odkąd zostałam sama, mój wzrok spoczywa na prawej dłoni, dokładnie na serdecznym palcu ozdobionym delikatnym, złotym pierścieniem z osadzonym w metalowym sercu szafirem. Obróciłam go kilkakrotnie kciukiem, a na ustach pojawił się smutny uśmiech.

Po raz pierwszy od kilku dni zaświeciło słońce. Mając dość siedzenia w domu, postanowiliśmy wykorzystać ładną pogodę i wybrać się na spacer do Parku Kolumba. W okresie wiosennym park prezentował się bajecznie, a przez załamanie atmosferyczne nie mogliśmy w pełni wykorzystać jego walorów.

Gdy znaleźliśmy się w pobliżu Ogrodu Różanego Kennedy'ego, moje nozdrza wypełnił słodki zapach wiosny, a przed oczami pojawił się magicznie wyglądający tunel z kwiatów. To te owe elementy sprawiły, że lata temu zakochałam się w tym miejscu podobnie jak w towarzyszącym mi mężczyźnie.

– Zatrzymajmy się tutaj na moment – zaproponował Rob.

Gdy przystanęłam zgodnie z jego sugestią, stanął za moimi plecami. Jego ciepłe dłonie wśliznęły mi się pod kurtkę. Splótł je na moim brzuchu, a twarz zanurzył w rozpuszczonych włosach. Zaciągnął się ostentacyjnie ich zapachem, przez co mimowolnie się uśmiechnęłam.

Oparłam głowę na ramieniu ukochanego, dając mu się poprowadzić. Niczego w życiu nie byłam tak pewna jak Roberta. Dla niego weszłabym do trawionego przez płomień domu, przepłynęła ocean, skoczyła ze spadochronem, a nawet dała się zakopać żywcem pod ziemią. Nawet po tak długim czasie ciężko mi było uwierzyć, że ten czuły, inteligentny, empatyczny i niezwykle troskliwy mężczyzna wybrał mnie. Ze swoją aparycją, niesamowitym charakterem i starodawną szarmanckością mógł mieć każdą kobietę. W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że to ja zostanę tą szczęściarą.

– Noelle – mruknął mi do ucha, składając tuż pod nim czuły pocałunek. Po mojej skórze rozeszło się przyjemne mrowienie i już zamierzałam prosić o więcej, gdy Rob odsunął się ode mnie, pozostawiając chłód w miejscu, gdzie stykały się nasze ciała.

Stała naprzeciwko mnie. Nie przestając się uśmiechać, powolnym ruchem odgarnęła włosy, które opadały mi na twarz.

– Nie ma na świecie nikogo ani niczego piękniejszego od ciebie – szepnął z uwielbieniem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałam, a okazywał mi je niemal na każdym kroku.

– Brzmisz, jakbyś miał zamiar mi się oświadczyć – wypaliłam z nerwowym śmiechem. Choć nie podejmowaliśmy tego tematu, gdzieś głęboko w moim sercu rozbłysło światełko nadziei, a po plecach przebiegł dreszcz podniecenia.

Na ustach Roberta zamajaczył nieśmiały uśmiech, po czym sięgnął do kieszeni swojej skórzanej kurtki. Sekundę później moim oczom ukazało się pokryte czerwonym aksamitem pudełko.

Z ust wyrwał mi się pisk. Bezwiednie przyłożyłam do nich dłoń. Postąpiłam dokładnie tak jak miliony innych dziewczyn w podobnej sytuacji.

– Musiałaś mi to zepsuć, co? – Zaśmiał się z udawanym oburzeniem, a następnie uklęknął przede mną na jednym kolanie.

– Nie wierzę... – Pokręciłam głowę, gdy otworzył pudełeczko.

– Szafir uznawany jest za uosobienie czystości, prawdy i miłości – zaczął uroczyście. – Ty jesteś dla mnie tym wszystkim, Noelle McNeils. –

Otarł kciukiem łzę, która wymknęła mi się spod powieki. – Jesteś czystością mojego sumienia, prawdą serca i miłością życia. Niech ten pierścionek będzie obietnicą... – Ujął moją drżącą z przejęcia dłoń. – Obietnicą wspólnie drogi, szczęścia, które razem przeżyjemy, i odwagi potrzebnej do spełniania marzeń. – Złożył na wierzchu mojej dłoni pełen czci pocałunek. – Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Przygniecioną ilością emocji, opadłam na kolana, zrównując się z nim.

– Tak – wydukałam. – Po stokroć tak! – Wybuchłam płaczem, który szybko przemienił się w śmiech szczęścia.

Robert wsunął mi na palec pierścionek, a gdy tylko uniósł głowę, zarzuciłam mu ręce na szyję i zmiażdżyłam jego usta swoimi.

– Muszę wyjechać na kilka dni w sprawach zawodowych.

Z krainy, tym razem przyjemnych, wspomnień wyrwał mnie znajomy już głos. Zorientowałam się, że płaczę, więc otarłam policzki i dopiero spojrzałam na mężczyznę. Przyglądał mi się z lekko zmarszczonymi brwiami, opierając się o futrynę drzwi.

– Co jeśli pozwolę ci tu zostać, a ty pod moją nieobecność wyządzisz sobie krzywdę? – Sposób, w jaki zadał to pytanie, sprawił, że poczułam nie tylko wstyd, ale i wyrzut sumienia. – Przykro mi, nie mogę... – Urwał, jakby się zapędził. – Nie zamierzam – kontynuował po tym, jak odchrząknął, by zamaskować swoje wahanie – brać odpowiedzialności za ciebie i twoje czyny.

Cholera, cholera, cholera...

Usiłowałam wymyślić coś na szybko. Jak na złość żadne argumenty, które nakłoniłyby go do zmiany zdania, nie przychodziły mi do głowy. Wątpiłam, że uwierzy, gdy obiecuję, że po powrocie do domu zastanie zarówno dom, jak i mnie w takim samym stanie, jak przed wyjazdem.

– Jeżeli nie podasz mi numeru telefonu, żebyś mógł skontaktować się z twoimi bliskimi, będę zmuszony odstawić cię na komisariat – ciągnął, siłą intensywnego spojrzenia próbując wydobyc ze mnie informację. – Tam nie powinni mieć problemu ze

zlokalizowaniem twoich krewnych albo kogoś, kto mógłby się tobą zająć, Panno Bezimienna. – Dwa ostatnie słowa podszyte były lekkim szyderstwem.

Gdy nie zareagowałam, oderwał się od futryny i wyszedł.

Znów zostałam sama ze swoimi myślami. Byłam już wyczerpana nieustanną walką, dlatego teraz nie buntowałam się ani nie błagałam. Po tym, jak straciłam Roberta, stałam się słaba i bezbronna, a przede wszystkim bierna. Przy nim poznałam bezkres miłości i głębię uczuć. Był ogniem płonącym wewnątrz mnie, siłą napędzającą mnie do działania. Bez niego świat stał się pogorzelskiem, po którym stapałam, z każdym krokiem raniąc się coraz bardziej i bardziej.

Opadłam na poduszkę, chowając twarz w zgięciu łokcia. Łkałam cicho nad własną niedolą i bólem, jaki sprawiało mi życie. Każda minuta wiązała się z walką o przetrwanie, a ja już nie dawałam rady. Stałam się cieniem osoby, którą byłam kiedyś. Nie pozostało we mnie nic z dziewczyny sprzed kilkunastu miesięcy.



Zasnęłam zaraz po tym, jak mrukliwy przyjaciel Charliego założył mi opatrunek. Jak zawsze, gdy przymykałam powieki, tak i teraz wpadłam w wir wspomnień o Robercie. Zakochałam się w nim w momencie, gdy jego bladozielone, pełne ciepła i radości oczy skrzyżowały się z moimi. To na nie zwróciłam uwagę jako pierwsze i od tamtej pory to w nich zawierał się cały mój świat. Oczywiście Rob był przystojnym mężczyzną. Wyższy ode mnie o prawie trzydzieści centymetrów, dobrze zbudowany dzięki fizycznej pracy, z ciemnoblond włosami i lekko zadartym nosem do złudzenia przypominał Ryana Goslinga. Jednak to nie za urodę go kochałam, tylko za jego wielkie serce, nieprzeciętny umysł, lekko skrzywione poczucie humoru i te setki cudownych chwil, które mi podarował. Do dziś wywoływały uśmiech na mojej twarzy.

Mogłam zapomnieć wiele wspólnych wspaniałych momentów, ale istniał jeden, który pozostanie w mojej pamięci na zawsze.

Od kilku dni czułam się fatalnie. Męczyły mnie mdłości i zawroty głowy, a także ogólne osłabienie i ostre, napadowe bóle brzucha. Rob upierał się, bym poszła do lekarza. Odmawiałam, winiąc za swój stan listopadową aurę i związany z nią spadek formy. Dopiero kiedy zemdlałam, zrozumiałam, że to coś poważniejszego i muszę udać się do specjalisty. Robert jeszcze tego samego dnia zabrał mnie do szpitala. Po tym, jak tam dotarliśmy, lekarz najpierw przeprowadził ze mną wywiad, a potem wykonano mi całą serię badań, które – odnosiłam wrażenie – trwały w nieskończoność. Podejrzewano ostre zatrucie pokarmowe. Jeśli potencjalna diagnoza się potwierdzi, miałam zostać w szpitalu przez kilka dni, co wcale mi się nie uśmiechało.

Po przeszło dwóch godzinach oczekiwania i kilku kroplówkach nawadniających w końcu odwiedził nas lekarz – inny niż ten, który mnie przyjmował.

– Witam państwa, nazywam się Thompson, jestem pani lekarzem prowadzącym.

– Nareszcie – burknął pod nosem Robert, przez co zgromiłam go wzrokiem.

– Przepraszam, ale dziś mamy wyjątkowo zwariowany wieczór. – Obrzucił mojego pełnego obaw męża szybkim spojrzeniem.

– Co mi dolega, panie doktorze? – Ubiegłam Roberta, który już otwierał usta, by się odezwać. Był zdenerwowany i bardzo się zamartwiał, a to w połączeniu z ponad trzygodzinnym ślęczeniem w ciasnej przestrzeni za parawanem nie wróżyło niczego dobrego.

– Pani Anderson?

– Tak – przytaknęłam, ściskając dłoń męża.

– Proszę wybaczyć, musiałem się upewnić. – Zerknął do papierów, które ze sobą przyniósł.

– To coś poważnego? – Widząc, jak wnikliwie studiuje moje wyniki badań, zaczęłam się niepokoić równie mocno co Robert.

– Nie ma powodów do obaw – odparł lekarz. – Ma pani lekką anemię, ale poza tym wszystko jest w porządku.

– Jak może być w porządku, skoro moja żona od kilku dni źle się czuje?! – fuknął Robert.

– Za kilka tygodni jej przejdzie. – Thompson popatrzył po nas wymownie, a następnie szeroko się uśmiechnął.

Spojrzeliliśmy na siebie z Robertem w tym samym czasie. Chyba oboje zorientowaliśmy się, co to oznacza. Wzmocniłam uścisk na dłoni męża, od razu go odwzajemnił. Zakręciło mi się w głowie, a serce przyspieszyło na myśl o tym, co prawdopodobnie było powodem mojego złego samopoczucia.

– Czy to znaczy... – Wzruszenie uniemożliwiało mi wystowienie się.

– Tak – potwierdził lekarz. – Jest pani w ciąży. Za chwilę zrobimy USG, by oszacować, który to tydzień.

– Będziemy mieli dziecko – wyszeptał Robert z niedowierzaniem, bardziej do siebie niż do mnie.

– Będziemy mieli dziecko – powtórzyłam piskliwie.

Rob przysiadł na moim łóżku, jakby ta wiadomość ścięła go z nóg. Zarzucił mi ręce na szyję, po chwili moje usta, oczy, czoło, policzki zostały obsypywane dziesiątkami pocałunków.

– Dziękuję, promyczku – powiedział ze wzruszeniem i wdzięcznością Robert. – Nie istnieją na świecie słowa, którymi byłbym w stanie opisać swoją radość.

Ujęłam jego głowę dwiema rękami i odsunęłam ją od siebie, by móc patrzeć mu w oczy.

– Kocham cię, jak nikt nigdy nikogo nie kochał.

Po tym wyznaniu nasze usta połączyły się w pocałunku.

Najpiękniejsze wspomnienie mojego życia zostało zastąpione przez inne, dalece od niego odbiegające. Oblał mnie zimny pot, oddech stał się płytszy, a ręka od razu powędrowała do brzucha.

Chłód i wilgoć przesączały się do każdej komórki mojego ciała. Drżałam, szlochając żałośnie. Desperacko chwytaliśmy powietrze, które zdawało się nie docierać do moich płuc. Towarzyszyła mi agonია, której nie

dało się opisać słowami. Mimo że brakowało mi sił, instynkt nakazał mi dotknąć ręką brzucha, by ochronić moje małeństwo. Gdy tylko to uczyniłam, poczułam między palcami lepka, ciepłą ciecz. To wzmogło uczucie paniki, które wkradło mi się do umysłu.

Uwagę, która została całkowicie pochłonięta przez moje nienarodzone dziecko, przykuło głośne rzeźenie dobywające się z gardła Roba. Obróciłam głowę w lewo. Jego nieruchome ciało oświetlał nikły blask pobliskiej latarni. W oczach czaiły się taka sama panika i strach jak w moich, a rysy wykrzywiało cierpienie.

Na tyle, na ile byłam w stanie, przeskanowałam jego sylwetkę. Wyrwało mi się coś na kształt krzyku, gdy dostrzegłam, że z okolic jego pasa cieknie krew, tworząc wokół obfitą kałużę.

– Będzie dobrze, promyczku – wycharczał Robert, zauważwszy, gdzie są skierowane moje oczy. – Musisz walczyć, wyjdziemy z tego...

Rozkaszał się, a z kącików jego ust popłynęła stróżka krwi.

To nie wróżyło nic dobrego.

– Nie, nie, nie... – mamrotałam w amoku. – Błagam, Robbie...

– Wyjdziemy z tego, promyczku... – powtórzył, ale temu zapewnieniu brakowało typowej dla niego dobitności. – Jeszcze będziesz szczęśliwa...

Z każdym słowem jego głos stawał się coraz słabszy. Próbowalam się do niego zbliżyć, ale nie byłam w stanie. Miałam wrażenie, że ciało skuł mi lód. Bezsilność potęgował strumień łez, który przez cały czas wypływał z moich oczu.

– Obiecuj, że oboje będziemy – zdołałam wykrztusić między jednym szlochem a drugim.

Przez łzy zobaczyłam przesuwającą się w moją stronę rękę Roberta. Oderwałam swoją od brzucha i przykryłam jego ciepłe palce. Przeniósł wzrok z mojej twarzy na brzuch, gdzie rosnęło jego dziecko. Mimo że bardzo się starał, nie udało mu się ukryć przerażenia, które zagościło w jego pozbawionych blasku oczach.

– Będzie... – wyrzęził, po czym znowu się rozkaszał i wypluł jeszcze więcej krwi.

– Nie... – Zacisnęłam powieki z nadzieją, że gdy je otworzę, to wszystko okaże się jedynie koszmarem. – Nie zostawiaj mnie...

– Pro... my...

Uniosłam powieki. To nie był sen, tylko rzeczywistość. Okrutna, bezlitosna rzeczywistość, która właśnie roznosiła cały mój świat w pył. Rozrywała mi duszę i dźgała serce milionami ostrzy na raz.

– Kocham... cię... – wydukał z trudem Rob, układając usta w coś, co miało przypominać uśmiech.

– Ja też cię kocham – wyszeptalam, dławiąc się własną rozpaczą.

Zawyłam jak konające w agonii zwierzę. Żałosny dźwięk, który nieprzerwanie wydostawał się z mojego gardła, niósł się ciemnymi ulicami. Staralam się przysunąć do Roberta, ale fizyczny ból był zbyt intensywny, bym mogła się poruszyć. Gdy poczułam mocne szarpnięcie w dole brzucha, wiedziałam... Wiedziałam, że oto moje życie się skończyło.

Poderwałam się tak gwałtownie, że zawiroowało mi w głowie. Czułam, jakby wewnątrz mnie miała nastąpić jakaś eksplozja. Nie nadążałam z łapaniem kolejnych oddechów, co doprowadziło do tego, że zaczęłam się dusić. Pokój się kurczył, ściany napierały na mnie, a podłoga falowała. Panika była niczym żmija – wpęzła do mojej głowy, owinęła się wokół umysłu i syczała głośno, zagłuszając wszystkie racjonalne myśli.

Wystrzeliłam z łóżka i pognałam do drzwi. Otworzyłam je zamasyście, lecz zamiast wybiec na zewnątrz, zamarłam, unieruchomiona dźwiękami *Lost* Erlendera Bratlanda, dobiegającymi z wnętrza domu. Doskonale znałam tę piosenkę. Uwielbiałam ją od chwili, gdy Robert puścił mi ją po raz pierwszy – w swoim starym camaro, które zaparkował dwie przecznice od mojego domu, tak by nie zauważyli go moi rodzice.

Kiedy minął pierwszy szok, nogi same poniosły mnie do przodu. Przez to, że zanim tu trafiłam, biegłam boso, miałam poranione stopy i każdy krok sprawiał mi niemały dyskomfort. Mimo to brnęłam przed siebie, pokonałam schody, aż dotarłam do źródła muzyki.

Spartańsko urządzony salon, gdzie wzrok przykuwała głównie surowa cegła i kortenowska stal na ścianach, wyposażono wyłącznie w szarą, stojącą przodem do rozciągającego się od podłogi do sufitu okna, kanapę i szklaną ławę. Jedynym elementem nadającym temu pomieszczeniu jako takiej przytulności był zamontowany w prawym rogu kominek. Nie elektryczny, tylko taki prawdziwy, opalany drewnem.

Zrobiłam kilka niepewnych kroków w głąb salonu. Choć czułam, że naruszam czyjąś prywatność, nie zatrzymałam się, póki nie znalazłam się bliżej kominka. W otworze ułożono kilka polan, jednak ich nie zapalono. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu zapalek i zastygłam, gdy zauważyłam, że na kanapie ktoś leży.

To on.

Charlie.

Spał albo drzemał. Zgięte w łokciu przedramię chroniło jego twarz przed wpadającym przez okno światłem, drugą rękę wsunął pod głowę. Czułam się jak intruz, powinnam wrócić do pokoju, ale nogi przyrosły mi do podłogi, a oczy przykleiły się do jego typowo męskiej sylwetki. Stałam więc w bezruchu, dopóki się nie poruszył. Wtedy bezszelestnie się wycofałam, niemal wpadając na mrożoną szybę, która oddzielała salon od kuchni.

Bliskość kuchni sprawiła, że zassało mnie w żołądku – po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Jako że przebywałam tutaj w charakterze gościa, na dodatek nieproszonego, zahałam się przed samodzielnym obsłużeniem. Porzuciłam jednak wątpliwości, gdy mój brzuch głośno zaburczał, a nozdrza wypełnił smakowity zapach pomidorów i bazylii.

Tak jak przypuszczałam, na płycie indukcyjnej zastałam bulgoczący na wolnym ogniu sos do spaghetti. Wystarczyło tylko ugotować makaron. Marna była ze mnie kucharka, potrafiłam zepsuć nawet jajecznicę, jednak z przygotowaniem makaronu powinnam sobie poradzić.

Nie bez obaw napełniłam garnek wodą, włączyłam zapalnik i postawiłam na nim naczynie. Gdy woda się zagotowała, wrzuciłam do niej makaron. W oczekiwaniu, aż makaron się ugotuje, przeskanowałam wystrój kuchni. W przeciwieństwie do salonu została umeblowana i wyposażona lepiej niż niejedna kuchnia restauracyjna. Również charakter miała znacznie bardziej osobisty i rustykalny, o czym świadczyły wyglądające na stare rozwieszane na ścianie garnki, patelnie i inne niezbędne podczas gotowania przybory. Na półkach ustawiono talerze, szklanki i wszelkiej maści kubki, w zlewie piętrzyło się kilka brudnych naczyń. Z podobnym stylem spotkałam się w trakcie pobytu z rodzicami w Hiszpanii. Charlie musiał lubić i umieć gotować tak jak kucharka w willi, w której się zatrzymaliśmy.

Gdy makaron był gotowy, rozłożyłam go na talerze i polałam pysznie pachnącym sosem. Następnie ledwo panując nad zdenerwowaniem, przeszłam z kuchni do salonu, żeby obudzić Charliego. Nabrałam powietrza w płuca i już miałam przemówić, gdy ujrzałam widoczny pod materiałem koszulki zarys mięśni, a niżej biegnącą w dół ścieżkę włosów. Poczułam łaskotanie w podbrzuszu i rumieniec na policzkach. Czegoś podobnego doświadczyłam wtedy, gdy między mną a Robem doszło do pierwszego intymnego zbliżenia.

Dawno nie patrzyłam na żadnego mężczyznę w sposób jawnie seksualny. Intrygowało mnie to tak samo, jak napawało wstrętem. To drugie nie powstrzymało mnie jednak przed błędzeniem wzrokiem po jego pięknie wyrzeźbionym ciele – bicepsach rozpychających rękawy koszulki, wypukłościach mięśni brzucha, udach szczelnie wypełniających nogawki dżinsów, a nawet jego bosych, wystających poza krawędź kanapy stopach. Fascynował mnie każdy skrawek jego ciała, przez co ukłucie wyrzutów sumienia przybrało na mocy.

Przerażona swoimi odczuciami, zamierzałam na powrót zaszyć się w przydzielonym mi pokoju, kiedy mężczyzna przekreślił się

na plecy i niespodziewanie otworzył oczy. Najpierw wbił wzrok w sufit, a następnie przeniósł go w bok, wprost na mnie. Otaksował mnie sennym spojrzeniem, które z każdą chwilą stawało się coraz bardziej przytomne. Gdy nasze oczy się skrzyżowały, przetoczyła się przeze mnie fala przyjemnych dreszczy, a serce załomotało w sposób, o istnieniu którego zdążyłam zapomnieć.

Po raz pierwszy od półtora roku poczułam coś innego niż ból.